



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## ZEBRA.



Zebra.

Konie, owe piękne i pocziwe zwierzęta, tak pożyteczne dla człowieka, mają licznych, mniej lub więcej do siebie podobnych krewnych, w różnych stronach świata. Jednym z takich krewnych, zwracających uwagę szczególnem zabarwieniem skóry, jest zebra, żyjąca w górach południowej i zachodniej Afryki, w promieniu od przylądka Dobrej Nadziei aż do Abisynii. Odznacza się ona silną budową, cienkimi nogami, krótką lecz bardzo gęstą grzywą, ogonem rzadko i głównie na końcu pokrytym włosami. Najdziwniejszym jednak jest jej strój zewnętrzny, przypominający raczej drapieżnego tygrysa, niż szlachetny ród koński — i dla tego to może zebra właściwa nazywa się po łacinie *Hippotigris*, co znaczy po polsku: *koń tygrysi*. Wyobraźcie sobie białawe lub żółtawe tło skóry pokryte ciemnymi pręgami, a prztem grzbiet i podbrzusze czarne.

Od napaści zwierząt drapieżnych, zebra broni się odważnie kopytami i zębami: w ogóle daje sobie z nimi radę, bo jest zręczna, przebiegła, i tylko lwa się obawia. Jest

jednak nieprzyjaciel niebezpieczniejszy dla niej od lwa, choć do zwierząt drapieżnych nie należy, człowiek — niebezpieczny tembardziej, że działa podstępnie, gdy lew przychodzi otwarcie. Afrykanie łowią zebra w doły umyślnie w tym celu wykopane, gdzie wpadłszy przypadkiem, daje się już z łatwo-



ścią zabić. Rżeniem zebra przypomina konia a ryczeniem osła.

Oprócz zebry właściwej, są jeszcze dwa jej gatunki: zebra kwaga i zebra dauw. Zwierzę przedstawione na rycinie, należy właśnie do tego drugiego gatunku i nazywa się po łacinie *Hippotigris Burchellii*. Kwaga łatwiej się oswaja i na przykładu Dobrej Nadziei jest nawet zaprzęga, dauw jest dzikszy, a najdzikszą zebra właściwa. Abisyńczyk jeden oswoił zebę do tego stopnia, że żyła w zgodzie ze zwierzętami domowymi; zdawało mu się więc że będzie mógł używać jej do konnej jazdy, lecz zwierzę rozwścieczone wyrzuciło go z siodła i odgryzło mu ucho.

Zebry chodzą stadami po kilkanaście do trzydziestu sztuk, a w biegu odznaczają się niezwykłą chyżością.

Zofia Urbanowska.

## BAJKA.

Rzekł Jowisz do słowika:

„Praktyczność życia podstawą,

„Precz mi ze sławą,

„Niech ci się o laurach nie śni!

„Byś zapomniał stariej pieśni,

„Przemienię cię w kogucika”.

Na rozkaz z góry,

W jaskrawem pierzu, ostrogach, grzebieniu,

Z cichego lasów cieniu,

Spadł słowik pomiędzy kury.

Walna się właśnie toczyła narada,

Jakiej roboty jąc się dziś wypada,

A każda gdacze, im głośniej, tem lepij!...

Ciekaw zrozumieć choćby jedno zdanie,

Słowik sąsiadkę zaczepi:

„Jakież zajęcia pochwalacie panie?”

Zwrócono ku niemu czubki...

„Odpowiem skoro pytasz”.

Rzecz kokosz znakomita.

„Tę tylko pracę zwiemy dziś nie marną,

„Za którą się bierze ziarno,

„Plon zaś obfity zdobędzie

„Kto się znajdzie w pierwszym rzędzie”.

— Musi mieć talent! — rzekł słowik z westchnieniem.

Roześmiano się dokoła,

Pomijając to milczeniem.

„Zasługę”? — ciągnął. — Ech! to stara szkoła!

„Wiem już!... tą dźwignią jest ducha potęga”!

— Kto dziś tych wyżyn dosięga!

Gdaknęły kury - przekupki!

„Ludzie mają kulaki

„A szpony — ptaki”!

Cofnął się słowik, rad tych nie usłucha,

Nie zerwie swych wspomnień wątku:

Z przemianą pierza nie odmienił ducha,

Nie chce niczego zdobywać przebojem...

Z filozoficznym spokojem

Na niskim zasiadł prątku,

Gdzie rzadko ziarno, częściej pada plewa,

Lecz i tam śpiewał

Zróślszy się sercem ze swą piosenką,

Śpiewa i śpiewa z ranną jutrzeńką.

N. S.

(Dalszy ciąg).

### III.

Nazajutrz jak zwykle w niedzielę, od wschodu słońca pędziły wózki i wierzchowce to na jarmark, to do kościoła, i tak miało być przez cały dzień. Każdy przejeżdżający stawał przed czardą wytchnąć koniom, przekąsić kawałek pieprznego mięsiva, wypić łyk czegośkolwiek i dalej w drogę. Gospodyni smażyła, przyrządzała, gospodarz częstował, Szandor jak co niedziela w świeżej od stóp do głów bieleźnie i odzieży, z włosami wypomadowanymi świeżem sadłem, skakał to naokoło domostwa to w izbie, brzęcząc ostrogami i pośpiewując:

Wiele stepem wietrzyk świeży,  
Co powieje czwórka bieży,  
Co zaszumi jak w zamieci,  
Z hucznym wichrem konik leci,  
Za gulyasem ziemia tętni,  
Juhas śpiewa coraz smętniej,  
Błyska czekan, to kanasze,  
Z bicza grzmią czikossy nasze!

— Co to on za piosenkę śpiewa ten wasz mały?

— Albo ja wiem, on sam nie wie, tak sobie śpiewa, on tak zawsze.

— No, musiał przecież słyszeć to co śpiewa.

Od południa ludzie zaczęli wracać, jadąc w przeciwną stronę, zatrzymywali się także, niektórzy zostawali na resztę dnia, a każdy teraz chwycił Szandora, wypytywał, pieścił i śmiał się, bo przed kościołem i na jarmarku gęsto już latały powieści o wczorajszym przypadku jaki spotkał żandar-mów w lesie Bakony:

— Szandor, toś ty rozcinał więzy powiązanym pandurom?

— Szandor, toś ty w oczy powiedział Sebesowi że jest złodziej i rozbójnik?

— Szandor, to ty z samym Sobrim z jednej miski jadłeś? Z dzielnym Sobrim?

— Czy bardzo bałeś się, Szandor?

— I kiedy pandury pytali gdzie się podział drugi kanasz, to ty nic? ani słowa? Nie powiedziałeś, że koło ciebie na czworakach zemknął w gestwinę.

Zajścia pomiędzy pandurami i szegeny legeny podszuwającymi się pod kanaszów, są niewyczerpanem źródłem ludowej epopei puszt i lasów, z którego snują się opowieści bez końca, przystrajane mimowoli tysiącami dodatkami, przechodząc przez setki i tysiące ust na jarmarkach i przed kościołami w święta; a że właśnie wzmiankowanej niedzieli przypadał jarmark w najbliższym miasteczku, tedy sława najświeższego zajścia z pandurami, rozleciała się jak na skrzydłach. Mały Szandor niechęć wyrastał wśród tych okoliczności na bohatera. Już on i wprzód, dla tego tylko że poraz pierwszy ojcu towarzyszył, czuł się dorosłym niż wczoraj, co dopiero gdy ujrzał się przedmiotem ogólnego podziwu. Chcąc nie chcąc zaczynał chłopak wieńczyć, że musiał przecież coś niepospolitego zrobić, kiedy tak to wszystkich zajmowało. Szczęściem był niewatpliwie w nim jakiś grunt szlachetnej prostoty, zamiast tedy rozswawolić się i rozhulać wśród niezasłużonego podziwu, dzieciak poczuł jakoś niewyraźnie, że człowiekowi na którego spada sława, należy się okazać jej godnym. A że lepszego wzoru rozumu i wszystkich cnót nad własnego ojca nie znał, przeto i teraz starał się go naśladować, uważając bacznie sam na siebie, o czym dawniej ani pomyślał. Ze zaś Petőfi cały dzień gości przyjmował uprzejmie, tedy i Szandor czynił toż samo, czem nowe wywołał mimowoli zdumienie.

— Patrzcie no, a toż teraz jest dwóch gospodarzy w tej gospodzie, a to już chyba rozprzestrzenić ją musicie, bo się w niej i tak przy jednym ludzie ledwo mieścili. Hej gospo-



siu, naucz no inne matki twego sekretu, jak dziecko do wczesnego rozumu i uprzejmości nakłaniać!

Petőfiowa śmiała się rosnąc od tych pochwał, jak jęj drożdżowe przysmaki, które jednocześnie przyrządzała znakomicie, choć na pański stół, dla swoich gości.

Tymczasem: dzyń, dzyń... ledwo z południa, zadzwoniły zjawione zkadś skrzypki, to cyganie, cała banda, nigdy nie wołana i niewidzialna, a zawsze zjawiająca się w potrzebie: skrzypki, flet, basetla, cymbały. Natychmiast przed domem, bo w domu już miejsca nie było, postawiono im na ławie misę gulaszu i Szandor wyręczając ojca, wyniósł ogromną scutore, stanął przed bandą siedzącą naokoło misy na ziemi i rzekł jak gospodarzowi przystało:

— Na zdrowie wam!... flaszę do ust przyłożył i odjął zaraz, wiedząc dobrze od rodziców że parę łyków ognistego trunku, mogłoby go o ciężką przyprowadzić chorobę, ale tem gościnnem obejściem przypadł teraz znów cyganom do serca. Flaszka poszła z rąk do rąk, a stary skrzypek zawołał klaszcząc w dłonie:

— Ho! ho! hi! niema tam gdzie widzącęj przyszłość? Ho ho, mądra czarownica przyleć na obłoku, przycewałuj na ożogu, przyjeżdż na staręj miotle! a chyżo, chyżo, wróżyć na szczęście młodemu gospodarzowi w Petőfiowęj czar-dzie! Ho!... — Przeróżliwe te wywołowania rozbrzmiewające daleko po stepie, w mgnieniu oka zwały tłum gości do cyganów, znanych z takich figlów przeróżnych, któremi w podobnych razach zabawiając wszystkich, usiłują przypodobać się gospodarzowi, w odwet za poczęstunek. Jakoż i teraz, za-ledwo przebrzmiały donośne wywoływania, gdy w pośrodku samejże gromady dopiero co z chaty wyległej, znającęj się doskonale między sobą i wśród której, nikogo obcego nie było... zrobił się ruch gwałtowny i coś zapiszczało:

— A puśćcież mię, puśćcie ludzie, nie słyszycież to że stary ojciec mię woła, ja lecę aż z Temeswaru, mało ducha z pośpiechu nie wyzionę, a wy mię nie chcecie przepuścić! Puszczajcie!—Lud się rozstał zdumiony: wpośrodku, z ożogiem najprawdziwszym w ręku, jakby tylko co zeń zsiadła, z rozartanemi kruczemi włosy od wichru w locie, zadyszana; ale z błyszczącemi jak żar oczyma, bieżała stara cyganka do wołającego:

— A no jestem! — rzecze stając przed nim. Huczny wybuch śmiechu nastąpił po pierwszym zdziwieniu. Wszyscy wiedzieli że to figiel, a przecież niepodobna było pojąć jakim sposobem tak nagle zjawić się mogła cyganka w czardzie, leżącęj na stepie jak na dloni, i do której przystęp ze wszech stron był widoczny jak okiem zajrzeć, na wiele mil.

— Wróż młodemu gospodarzowi na szczęście, bo nas po ludzku przyjął, tak jak jego ojciec zwykł! — rozkazał skrzypek cygan. Ludzie cofnęli się tworząc koło, wpośród którego został Szandor sam jeden. Chciał i on się cofnąć, ale zawołano ze wszystkich stron;

— Stój Szandor! Cóż to! Tuzina pandurów się nie boisz, szegeny legeny niedługo pieśni o tobie śpiewać będą, a przed jedną cyganką chcesz uciekać! Niech ci wróży na szczęście i owszem! Wróż Marcha! wróż!

Szandor stanął istotnie jak wryty, nie dla tego wołania jednakże, lecz pod wrażeniem ognistych oczu wróżki. Choćby chciał poruszyć się w tój chwili, nie mógł. Nawzajem i wróżka zdawała się także jakby zdziwiona, jakby pod wrażeniem jakimś.

— Co to takiego? Co to dziecko ma za płomyk w oczach?... — mruknęła przystępując doń bliżej. — Stary ojciec dajno mu twą skrzypkę, czy on umie się rozgadać z tą duszą co w skrzypce siedzi zakłętą?

— Nie, nie, on ze skrzypką nie zwykł się rozgadywać! — ozwały się głosy przyjaciół.

— Nie?... — przemówiła z namysłem cyganka — a jednak on ma płomyk w oczach od takiej iskry co ją nie ludzie skrzęsali. Dziecko! co ty umiesz takiego czego cię nikt nie uczył?

— On umie pieśni których nikt nie śpiewał! — ozwał się głos w tłumie.

— Tak?... a może! Śpiewaj chłopcze! — Szandor ze zmarszczonem czołem gwałtownie w tył się cofnął, instynktowo próbując wyrwać się z pod opanowującego uroku.

— Otóż nie!... — z gniewem rzekła wróżka. — Komu dana iskra ten w płomień rozżarzyć ją musi, inaczej poniesie ją zagasła na duszy na wieki, ja tobie ją rozellić pomogę: śpiewaj!.. — Jedną ręką chwyciła chłopca za ramię, końce trzech palcy drugie przyłożyła mu do serca, patrząc w oczy tak płomiennemi oczyma, że w istocie iskra jeżeli tam była, zająć się od tych płomieni musiała:

— Śpiewaj co widzisz tam! — rozkazała wróżka i dziecko ostatnim wysiłkiem odrywając oczy od jęj wzroku, potoczyło niemi po stepie i zaczęło śpiewać na najpospolitszą, przy ognisku najczęściej brzmiącą nutę, z początku blade i nieprzytomne, ale prędko ożywiając się od słów własnych:

Z pogwizdem wichru grzmia kopyt odgłosy,  
Zda się że niebo ryknęło piorunem,  
Tak palą z biczu wesołe czikosy,  
Oklep na żrebcach pędząc za tabunem.

A tam do wiosek przytulone łona  
Kłonią się płowe na zagonach kłosy,  
I świeża łąka jak stepu korona  
Na tle szmaragdu lśni perłami rosy.

Kiedy wieczorem mrok ciemny zapada,  
Gdy wiatr sitowiem głucho zaszeleści,  
W lot się zrywają dzikich kaczek stada,  
Z gniazd na jeziorze co ledwo je mieści.

Prastara czarda opodał od sioła  
Gościnne progi otwiera drużynie,  
W izbie pasterzy gromada wesoła  
Wraca z kiermaszu gwarzy przy kominie.

W koło ją wieńcem oplotły topole,  
A dalej dzieciół kuje gniazdo w ziemi,  
Dla swoich piskląt, by ludzkie pachole  
Próżno się pastwić nie mogło nad niemi.

Jak step szeroki, niebo z ziemią społem  
W okrag się styka i nic ich nie dzieli,  
Gdzienigdzie tylko, chmurnem czarnem czołem  
Odwieczna baszta w obłoki wystrzeli.

Stepie rodzony, o jakżeś uroczy!  
Tyś mię kołysał i sycił swą siłą,  
Kiedy na świat ten zamknę senne oczy,  
Ty przyjm me kości, ty bądź mi mogiłą!...

Rozpłomieniony przez chwilę chłopczyna zbladł nagle przy ostatnich wyrazach i w tył się pochylił...

(d. c. n.)

## LIST Z WARSZAWY.

Kochani koledzy i miłe czytelniczki Wieczorów!

Siostra moja, Gołąbka, napomknęła wam w ostatnim liście swoim przed świętami pisanym, że bratu jęj a naj-niższemu waszemu słudze, udzieliła redakcja pozwolenie od-zywania się kiedy niekiedy do was w łamach naszego Pisem-ka. Z nieśmiałością z pozwolenia tego korzystam, bo nie-łatwo to wstępować w ślady niezapomnianego Kazia, a na-wet i bratu memu Julkowi dorównać! Co prawda, to prawda, jak przyjdzie na zły humor, poczubimy się czasem trochę, aż nas siostry rozbrajać muszą; ale mimo to uznaję nad sobą jego przewagę. Starszy jest... w VII-ój już klasie, kiedy ja dopiero do V-ój poszedłem, no i niema co mówić: Julek wię-ciej umie odemnie! Przytem miał o czem pisać do was: wi-dział cuda nad cudami! A ja? wakacye przebaraszkowałem na wsi, na koniu, na łódce, na wozie ze snopkami, a teraz w klasie siedzę i nad algabrą ślęcę ze strachem myśląc, że



mnie na przyszły rok czeka „wykreślna” dla tego zapewne tak zwana, że wielu realistów z listy promocyjnej *wykreśla*.

I święta całe także przesiedziałem w domu, nie używając ani ślizgawki, ani tańca, bo mi po influenzy nie bardzo wychodzić było wolno, ale w błędzie jest ten, kto mniema, że i ja siedząc w domu nie widział cudów, nic a nic nieustępujących tym, które Julek na wystawie paryzkiej oglądał.

Źle jednak mówię, że cuda te *widział*: jam się tylko o nich *dowiedział* z książki, która przymusowe siedzenie w domu (ach jak ja lubię przewietrzenie się na mieście parę razy na dzień!) zamieniała mi w najrozkoszniejszą z rozrywek, z takim ja czytałem zajęciem. Pewności tytułu jej ciekawi? Znać go już musicie ze słyszenia, bo wszystkie pisma donosiły już o ukazaniu się „Doktora Muchołapskiego”, którego autorem jest p. Erazm Majewski, opisujący fantastyczne przygody w świecie owadów, ciekawszym i dużo więcej zajmującym niż się tego spodziewają panienki, które wzdrzają się z obrzydzenia na widok gąsienicy lub „francuza”, a nawet i niektórzy z panów kolegów, przejęci nieczem nieusprawiedliwionym wstrętem do tych lub owych osobników świata owadowego. Jeżeli kto mógłby mieć do tych stworzonek pretensję, to właśnie dr. Muchołapski, bo *Łowikowi* zawdzięcza zerwanie małżeństwa w sam dzień ślubu, a jednak proszę zobaczyć z jakim sympatycznym uznaniem wyraża się o owadach, jak bezustannie ocenia zalety ich charakteru, jak całe życie poświęca badaniu ich obyczajów!

Entomologiem nie jestem i nie mogę przejąć się zapałem do tego mianowicie rodzaju studyów; owszem, dziwaczną nawet wydaje mi się myśl włożenia w ślubnym fraku na drzewo za jakimś marnym owadem, ale po przeczytaniu D-ra. Muchołapskiego zrozumiałem, że badacz przyrody żyje w świecie cudów, z jakimi w porównaniu cudowne awantury bajek wschodnich są najpospolitszymi z przygód. Ale przygody doktora zupełnie do pospolitych nie należą. Wiedziony popędem litościwego serca, śpieszy on na ratunek cudownym sposobem zmalłego Lorda Puckinsa i z narażeniem własnego życia sam zmalawszy do rozmiarów tak drobnych, że pajak krzyżak wydaje mu się olbrzymem, a kępa macierzanki gęstwiną do nieprzebycia, podgląda okiem uczonego specjalisty niewidzialne dla ludzi tajemnicze życie owadów. Ach ci uczeni! jacy oni szczęśliwi! jak im świat rośnie i rozszerza się w oczach, dzięki nauce, która im pozwala rozumem dociec lub naocznie się przekonać o tem, co dla człowieka powierzchownie wykształconego jest zagadką, lub nawet wcale nie jest kwestyą badania godną. O mrówkach na przykład wszyscy potrosze wiemy, że budują sobie one mrowiska, w których żyją gromadnie a zgodnie. Ale kto z nas wie, że tak zwany „podział pracy” mający dziś tak szerokie zastosowanie w przemyśle i uważany za nowy zupełnie wymysł ludzkiej, daleko posuniętej cywilizacji, oddawna znany jest u mrówek? „Wszystkie czynności, od których zależy byt i pomyślny stan mrowiska, są podzielone między obywateli, którzy dobrowolnie i z wzorową dokładnością wypełniają obowiązki. Jedne kopią ziemię, drugie budują, inne rzeźbią, inne wychowują młode pokolenie, odgrywając przytem rolę nianiek i karmicielek, jeszcze inne zajmują się myślistwem, pasterstwem, gromadzeniem żywności, przyswajaniem mszyc, rzemiosłem wojskowym, a nawet zdobywaniem i ujarzmianiem niewolników... Krzątają się każda po swojemu około wspólnego dobra.”

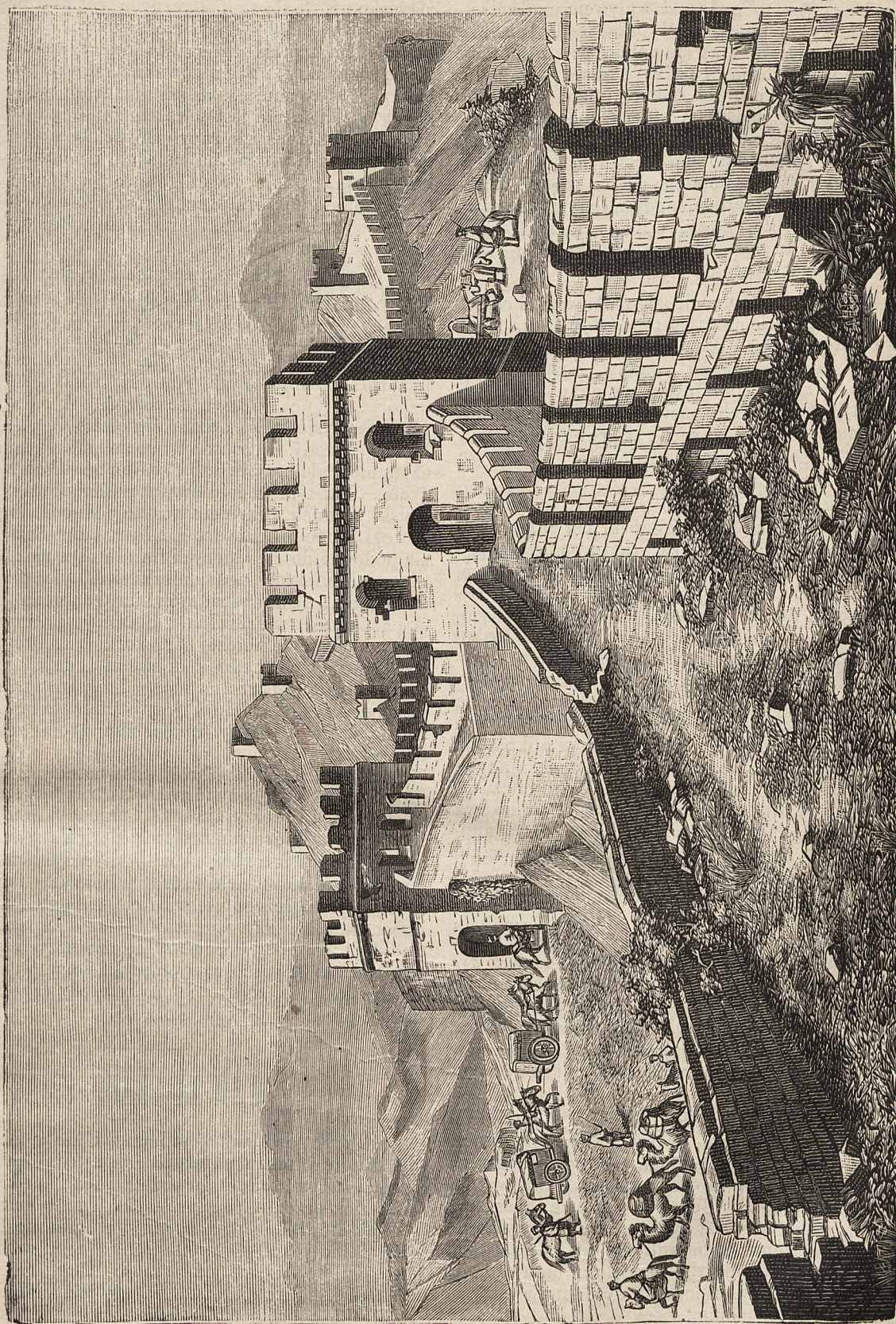
Takie o nich świadectwo wydaje d-r. Muchołapski, który w zmalłej swjej postaci miał sposobność przypatrzeć się im zblizka a i bez tego wie o nich wszystko, co tylko wiedzieć można o całym rodzie mrówczym, poczynawszy od zwykłych u nas leśnych mrówek rudyk, a skończawszy na amerykańskich *ognistych*, których ukąszenie sprawia taki ból, jakby kto człowieka oblał ukropem, a ukazanie się zmusza do rozsyпки oddział żołnierzy. Wszystko wie o nich wszystkich cudowny doktor: jak hodują poczwarki, jak żywią nowo-wylęglę *mrówczęta*, jak się umieją poświęcać dla dzieci, i zachwytem dla nich przejęty, wykrzykuje że prędzej nauczyć się czego mogliby ludzie od mrówek, niż mrówki od ludzi. Nie

moją rzeczą wdawać się w spory z uczonym, ale mi się to jakoś nie zdaje... Człowiek, choć i „nauczy się” czegoś od zwierzęcia, czyli z jego czynności pomysł weźmie do swoich, to przecież inaczej na *człowieczy* je sposób dokona: są one obmyślane, nie instynktowne. A swoją drogą ten instynkt zwierzęcy, to nie lada dar Boży! przeczytajcie tylko rozdział „O Grzebiszach!” Jak to podobny do osy *Nastecznik drogowy* kopie sobie dołeczek, jak żywcem grzebie w nim złowionego pajaka dla tego, żeby liszka wylęglą z jajeczka, które zabójczyni złożyła w ciele ofiary, miała gotowy dla siebie pokarm! Drapieżne to obyczaje ani słowa i słusznie też *osami drapieżnemi* zwią się członkowie tej rodziny, ale okrucieństwo to bezwiedne a mające na celu utrzymanie gatunku prawo, któremu i najdrobniejsze twory ulegają. Ustanowiła je sama przyroda: im gatunek wątlnością swoją na więcej niebezpieczeństw jest narażony, tem większa możliwość licznego rozradzania się ochrania go od zguby. Samiczka mrówki z rodzaju *termitów* złożyć może w ciągu dnia 86,400 jajeczek! cóż dziwnego, że tak ona jak jej podobne krzątają się koło zapewnienia warunków życia tak licznemu drobiazgowi! Wszystko niedłwie co żyje, od rośliny, aż do człowieka, czycha na owady, gdyby nie to, Doktor Muchołapski powiada, że świat by niebawem opanowały, a chmury wszelkich owadów, zasłoniłyby nam słońce. Tyle jednak spada na nie klęsk, tylu im grozi nieprzyjaciół, że czasem z kilkuset jajeczek ledwo się kilka wykształci owadów, niekiedy parka lub nawet jedno tylko. A nie uwierzycie, jakie to wytrzymałe! aż mi się przypomniło przysłowie o lichu, którego złe nie bierze, gdy czytał, że są między tem marnem maleństwem stworzenia, które po trzy miesiące i *dłużej* mogą żyć bez pokarmu. Słyszycie koledzy? gdyby tak nas puszczono z domu do szkoły bez śniadania na pauzę? ładniebyśmy wyglądali! Ja bo strasznie jestem na głód niewytrzymały i wcale zresztą nie mam sobie tego za złe, bo wszakże doktor Muchołapski objaśnia, że takowa wytrzymałość jest właściwą organizmowi „niższemu”. Zazwyczaj śmieją się w domu z nas chłopców, że za dużo jemy: macie teraz argument na swoją obronę! jesteście *organizmami wyższymi*. Nie wiem doprawdy do jak wysokich przyszloby zaliczyć gąsienicę, gdyby brać miarę z jej apetytu, to co czytałem o jej żarłoczności, przechodzi wszelkie pojęcie. Czy uwierzycie? to szesnastonogie szkaradzieństwo jest w stanie zjeść w ciągu jednego miesiąca 60,000 razy tyle pokarmu, ile sama pierwsiastkowo waży! I to z tego wyklua się eteryczny motyl sokiem kwiatów żyjący! czyż to nie zakrawa na bajkę?

Albo jeszcze opowiadanie o tych *Chróścikach*, co żyją sobie na dnie wody, schowane w futerałach? Tak, nie zmyślam i nie przesadzam, *w fu-te-ra-le*, to jest w rurce, gładkiej od wewnątrz ale pokrytej na zewnątrz stronie najrozmaitszymi materyalami. Niektóre chróściki przyklejają do tego ruchomego domku kawałeczki trawy dość symetrycznie ułożone, inne okręcają się wązkim liściem, inne jeszcze składają sobie pochewkę z ziarenek piasku tak dobranych, tak prawidłowo w symetryczną mozaikę ułożonych, jakby to była mi-sterna robota ręki ludzkiej. A co jeszcze osobliwsze, to że chróścik, który przecie do szkół realnych nie chodzi i hydrostatyki się nie uczy, tak sobie jednak mądrze kombinuje ciężkość materyałów jakich używa, że ten jego futerałik nie jest ani cięższym ani lżejszym od wody. Nie czuje więc mieszkanię jego ciężaru pełzając po dnie, ani też z powodu zhytniej jego lekkości nie idzie niepotrzebnie w górę. Czasem i jemu zdarzy się omylić (w sekrecie wam powiem, że i ja nie zawsze rozwiążę trafnie zadanie matematyczne) wtedy przylepia jaki kawałeczek, lub odrywa i równowagę przywróca.

Czytając te i tym podobne rzeczy, powiada sobie człowiek, że niegodziwie postępuje, niemiłosiernie, machinalnie tępiąc stworzenia, które tak przemyślnym trudem żywot swój zabezpieczają, a bądźco bądź, potrzebne są do utrzymania równowagi wszechświata. Pierwszy też raz przyszło mi na myśl, że takim samym barbarzyńcą jest ten, kto umyślnie rozdepce wędrującego po piasku robaczka, jak ta pani, która w przystępie złości wyrzuciła psa przez okno z drugiego pię-





Wan - li - czang - czing.



tra i — pociągniętą została za to do odpowiedzialności sądowej. Przyszło mi to zaś na myśl dla tego, że Muchołapski w chwili, gdy po wielkich poszukiwaniach znajduje nareszcie lorda Puckinsa (gustownie ustrojonego w marynarkę koloru morza, zdobną w szerokie, pomidorowe kraty) zaczyna od nazwania go „nikczemną istotą, niegodną nosić wzniosłego miana człowieka”. Czyni to zaś pod wpływem oburzenia, którem go przejmuje widok popełnionej przez lorda Puckinsa zbrodni. Podpalił on puszcę (jak się potem pokazało, zapalił tylko sygnał, a wiatr rozniecił pożar) i tam, gdzie była kwitnąca i szczęśliwa osada mrówek, gdzie kipiało pracowite w karnem stowarzyszeniu życie, tam widzi Muchołapski tyśiące zwłok strasznych męczarniami oszepeczonych. Cóż za dziw, że wstręt czuje i pogardę do mordercy tyłu niewinnych istot? Zastanowiwszy się, zrozumiałem, że nie w tem niema dziwnego, ale... jakoś mi to pierwój nigdy na myśl nie przyszło. Wstyd się przyznać doprawdy, o ilu to rzeczach człowiek *nie myśli*, choć po to przecie uczy się i kształci, aby nauka dostarczyła mu materiału do myślenia.

Wybawca i ocalony porozumieł się niebawem i odtąd we dwóch już wędrują po tajemniczym tym świecie, dla zmalałych tylko istot dostępnym. Ponieważ głód im dokucza, żywią się tedy, jak mogą, jakkami owadów, rozprawiając przytem o różnych owadach jadalnych: pajakach, gąsienicach, mrówkach i tym podobnych specyfalach, od których ko szutowania strzeż mnie Boże łaskawie. Wprawdzie ostrzygi, krewetki i raki także nie apetycznie wyglądają, ale zawsze to jednak nie to...

Widocznie jednak pokarm tego rodzaju wystarczał dwóm wędrowcom, skoro doktor Muchołapski ma zamiar pozostać na dłużej, na zawsze nawet może, takim mikroskopijnym człowiekiem. Tłómaczy on swoje postanowienie tem, że wbecnym stanie swoim zdolen jest poczynić odkrycia, nader dla nauki ważne, a dla zwyczajnego człowieka niedościgłe, z powodu niedoskonałości ludzkich zmysłów. Mikroskopy, mikrofony, teleskopy, barometry i t. p. wszystko to nazywa *sztucznymi zmysłami* wzmacniającymi ludzkie, niewystarczające. Teraz zaś w zmalałej swój postaci, doktor oczyma 120 razy zmniejszonymi, dostrzega szczegóły wtedy dopiero okiem ludzkim dojrzane, gdy się ono uzbroi w mikroskop 120 razy powiększający, a w dodatku zamiast pokrajanych i martwych komórek, widzi tkanki żywe. Ucho jego odczuwa dźwięki i szmery dla zwykłego ucha niepochwytne, a odczuwa je dla tego, że ma błonę bębenkową o 120 razy delikatniejszą. Rozumowanie to trafiać już zaczyna do przekonania Lorda Puckinsa, gdy wtém okrutna katastrofa rozdziela przyjaciół i zmusza Muchołapskiego szukać schronienia w opuszczonej zamczysku pszczoły *Murarki*, o której obyczajach, i rozumnej przemyślności opowiada rzeczy wyglądające na taką samą bajkę, jak cała historia o zmaleniu skutkiem wypicia jakiegoś tajemniczego płynu. A jednak *Murarka* nie jest istotą bajeczną, ale przewidującą i zabiegliwą matką, tak dalece, że tutaj słuszną mi się wydała wątpliwość autora, gdy pyta: „Czyż podobna kłaść wszystkie uczynki owadów na karb *instynktu*, który niema nic wspólnego z tak zwanym rozumem”.

Bóg to jeden wie! Ja tylko jedną rzecz nie rozumiem: jak mogą ludzie, zajęci badaniem przyrody — a mianowicie żywych tworów — nie uwielbiać Boga, którego opatrna mądrość tak tu na każdym kroku widoczna, tak w wodach swoich zdumiewająca? Jedno stworzenie drugiemu pozornie szkodzi, a w gruncie rzeczy dopomaga mu tylko do spełnienia jego przeznaczenia; jedno niby drugiemu zawadza, a istnieć by bez siebie nie mogły... Każde z nich zadanie swoje zna, do celu swego dąży, i pozorny dysonans wytwarza najpiękniejszą w świecie harmonią...

Nie dziwcie się, koledzy, tak poważnym myślom i nie przezwijcie mnie czasem *sensatem*, bo nie chciałbym na początek znajomości niekorzystną zyskać u was opinię. To ta książka wszystkiemu winna: ona to podsuwa myśli nigdy przedtem głowy nie nawiedzające: zupełnie, jakby mnie kto wziął za rękę i w inny świat wprowadził — drobnutki razem

i ogromny! Bo, proszę was, sami powiedzcie: czy „mur pełzający” gromada spojonych z sobą drobnych liszek *Pleniówek*, które tworzą zbitą na kilka łokci czasem długą, węzowatego kształtu masę, nie jest ogromem dziwniejszym nad ściany z głazów, ręką ludzką wznoszone? I co za dziw, że w wyobraźni ludu, skorój do wiary w nadzwyczajności, rzadkie to zjawisko urosło do fantastycznych rozmiarów bajki o Królu Wężu i tym podobnych gadach, których podstawą bywa najczęściej fakt jakiś ze świata rzeczywistości spostrzeżony a niezrozumiały i zagadkowością swoją podniecający wyobraźnię? Czy nauka, która dostarcza wytłómaczenia podobnych zagadek, nie jest w całym znaczeniu tego słowa nauką o cudach, i nie mamże racji mówić, że siedząc w domu i czytając, natrzymałem się na cuda nie mniejsze od wystawowych, którym tak pilnie i szczegółowo przypatrywał się Julek? Opowiadanie doktora Muchołapskiego objaśniają jeszcze starannie wykonane rysunki, przedstawiające ciekawsze czy okazy, czy sceny z życia owadów.

Sami zapewne przeczytacie ciekawą tę i pouczającą książkę i zdaje mi się, że wywrze ona na was taki sam skutek, jaki na mnie wywarła. W miarę czytania, budziło się we mnie współczucie i... (nie śmiecie się ze mnie, proszę!) coś w rodzaju poważania dla tych niepoczesnych naszych współbraci, otoczonych również troskliwą, jak my, opieką wspólnego Ojca wszech stworzeń. A mówiąc tu o opiece mam na myśli maskowanie się owadów. „A to co — zawołacie — owady wyprawiają sobie maskaradę”? Tak, mili czytelnicy! ale nie dla zabawy, jeno dla utrzymania się przy życiu. I w tym to celu owad przesładowany przez nieprzyjacielski gatunek, przybiera postać podobną do postaci przesładowcy, jak to ma miejsce z całą rodziną *Szklonek*, które stają się podobne do czyhających na nie os i pszczoł; w tymże samym celu niektóre gąsieniczki i motyle przybierają barwę kwiatów i roślin służących im za siedlisko lub pokarm. A choć autor twierdzi, że nie należy upatrywać w tem zjawisku jakiejś opiekuńczej przezorności natury w ochranianiu dzieci swoich, to jednak mnie się zdaje, że samo to prawo naturalnego doboru na mocy którego ma miejsce podobne przebijanie się owadów, jest już dowodem opiekuńczej przezorności Tego, który łańcuchem życia zespolił wszystkie twory.

Zamiast jednak dłużej filozofować, z czem, czuję jak mi nie do twarzy, powtórzę wam raz jeszcze: przeczytajcie tę książkę. Przeczytajcie ją, panienki brzydzące się lada biedactwem, które zamiast nóg dwóch czy czterech, posiada ich sześć, ośm lub szesnaście — przeczytajcie, koledzy w granatowych mundurkach, którzy poza waszem *Supinum* i *Aorystami* świata Bożego nie widzicie — przeczytajcie wy, ciemno zieloni moi koledzy, choć trochę już obeznani z dziwami i zagadkami przyrody. Nie wątpię, że przy czytaniu przyjdzie wam do głowy pełno nowych myśli i uczuć i że polecając wam tę książkę, zasłużył sobie na względy czytelników brat ukochany przez wszystkich Gołąbki.

Józio.

## WAN-LI-CZANG-CZING.

Tytuł powyższy jest nazwą chińską sławnego na 1,000 mil długiego muru, którego część jedną przedstawia nasza rycina. Zbudowano go przed wiekami dla obrony granic chińskich przed napadami ludów Turańskich. Miało to miejsce jak mówi niepewne podanie, za cesarza Hoang-ti w trzecim wieku przed Chrystusem. Wielki mur chiński obecnie jest już po części zniszczony, miejscami zaś dochował się w całości. Raz przedstawia się jak wysoki wał ziemny, to znów jako mur niezmiernie gruby, na podstawie granitowej zbudowany. Wysokie i niższe wieże czyli baszty wznoszą się w pewnych odstępach, w całym ciągu muru. Historycy chińscy zapewniają, że dawniej strzegło go liczne wojsko, umieszczone w namiotach stojących na wierzchu; w basztach zaś mieszkali wodzowie.



# POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Zanim przyszedł do siebie, dozorca z Jaśkiem nałożyli mu kaganiec. Gdy jegomość niedźwiedź oprzytomniał, był już związany na wozie, wysłanym słomą, jadącym do Benyamo.

Tymczasem trzeba było poskromić panterę, co wcale nie było łatwiejszem.

Jest w Meksyku pewien rodzaj drzewa, które pęka tak jak bambus. Gdy zwierze próbuje je gryźć, rozdziera sobie paszczę. Pantera była zamknięta w skrzyni z tego drzewa, którą wstawiono do stodoły. Skrzynia wszakże za wielka była aby ją można wstawić na wóz; ale właściciel miał drugą mniejszą. Żeby zmusić zwierzę do prześcia w nią, dozorca wymyślił taki sposób:

W kącie stodoły wyjęto deskę ze ściany i umieszczono mniejszą skrzynię zewnątrz, przycisnąwszy ją otworem do otworu w ścianie stodoły. Ten otwór zamykany był na zasuwana okiennicę, którą można było podnosić i spuszczać za pomocą sznura. Jeżeliby pantera sprobowała wyjść ze stodoły przez dziurę w ścianie, napotkałaby jak raz otwór skrzyni, której drzwi zarazby za nią zapadły.

Pantera nie dosięgła jeszcze wieku zupełnego rozwoju, ale nie mniej było to straszliwe zwierzę i przed wypuszczeniem jej na środek stodoły, ludzie usunęli się wszyscy do drugiego jej przedziału, gdzie w ścianie z desek były szpary, przez które widać było wszystko.

Wypuścić panterę było rzeczą trudną, bo należało się spodziewać, że się rzuci na tego, który otworzy klatkę, stojącą do góry drzwiami. Dozorca uchylił je troszeczkę, poczekał chwilę i przymknął; uczynił to po trzy razy. Pantera zwinęta w kłębek w kącie klatki, śledziła bacznie okiem jego ruchy, gotowa do skoku, ale ruchy systematyczne drzwi, zbijały ją z tropu, nie wiedziała co o tem myśleć, bojąc się podstępny, to też gdy dozorca otworzył drzwi zupełnie, pozostała jeszcze nieruchoma przez parę sekund, co właśnie dało mu czas uciec. Zwolna potem podniosła głowę, przypatrzyła się rozwartą klatce i nagle jednym skokiem znalazła się w środku stodoły. Zatrzymała się chwilę, ciskając dokoła dzikie niespokojne spojrzenie, potem zaczęła sunąć żywo, schylona i giętka, wzdłuż ścian, szukając otworu, aby uciec lub skryć się. Doszła tak do przygotowanego wyjścia w kącie, nieszczęściem uderzyła się tam o deskę niepotrzebnie pozostawioną, i przestraszona jednym skokiem rzuciła się w przeciwny koniec budynku, gdzie odkrywszy maleńką szparę między podłogą i ścianą, wsunęła się w nią jak kot i zaczęła rozrywać drzewo pazurami i zębami.

— Nieszczęście ona nam uciek! — zawołał dozorca — prędko niech kto biegnie do wioski i przyprowadzi Tomasza, który w zeszłym roku schwytał niedźwiedzia na łąso! nie powinna z nas zażartować!

— Tomasz nie zdąży przyjść prędkiej jak za dziesięć minut i pantera będzie wolna, idźcie po psy! — wołał właściciel.

Jeden z parobków skoczył natychmiast i w chwilę wrócił prowadząc psy pasterskie, a chłopak stojący równocześnie przybiegł z ogromnym chartem na smyczy.

— Pozwólcie im przystąpić do szpary we drzwiach — rzekł gospodarz folwarku. — Dobrze, teraz już ją zobaczycie. Dalej pieski moje pocziwie, śmiało naprzód! pokażcie co umiecie.

Drzwi uchylono na chwilę, gdy pantera ciągle zajęta była zajądłem rozszarpywaniem otworu w przeciwną stronę stodoły, pięciu psów olbrzymich wpadło do niej.

— Rozszarpia ją na sztuki! — rzecze Melchior.

— Bądź pan spokojny, potrafi ona bronić swą skórę — odpowiedział śmiejąc się gospodarz.

Miał słusność; gdy pięciu psów, każdy większy od pantery daleko, i daleko silniejszy, rzucili się razem na zwie-

rze, przyjęci zostali szesnastoma szponami jak sztylety nastawionymi ku nim w mgnieniu z czterech łap zwierzęcia nagle przewróconego na grzbiet. Psy odskoczyły w tył gwałtownie, jak człowiek, ujrawszy nagle przed sobą paszczę armatnią, a pantera na nowo zabrała się do przerwanego około rozszarpywania desek roboty.

— Puść Tygrysa! — zawołał gospodarz. Służący, który trzymał charta na smyczy, puścił go i pies należący do najpiękniejszego i najdzielniejszego gatunku pysznych tych przyjaciół myśliwca, skoczył z kolei na panterę; ale i on odępnęty został jednym uderzeniem, gruba jego obróża ochronna pękła odrazu, a sierść rozleciała się na wszystkie strony.

Psy pasterskie, które w pierwszej chwili uciekły do przeciwnego kąta, powróciły wtedy odważnie do boju, ani jeden przeciw nie śmiał rzucić się na panterę ilekroć nastąpiła swe szpony, a ona tymczasem w przerwach tych ataków, pracowała ciągle nad podkopem.

— Nie dadzą jej rady; przyniescie kocioł wrzącej wody — rzecze gospodarz.

— Muszę zwrócić pańską uwagę, że nie będę mógł kupić zwierzęcia, jeżeli mu się futro uszkodzi. Czy nie ma innego sposobu ujęcia go? — spytał Melchior.

— Ja mam sposób — rzekł jeden z obecnych. Czy jest w domu pieprz czarny? senor?

— Bez wątpienia Maso, ale na co?

— A więc niech Jasiek przyniesie mi garść pieprzu i rozpaloną do czerwoności łopatkę żelazną.

— Dobrze — dodał gdy otrzymał co żądał — teraz pozostawmy panterę w spokoju na chwilę, a ja muszę wyjść z moją robotą na wolne powietrze, bo inaczej podusiłibyśmy się wszyscy.

Maso, tak mówiąc, wyszedł i nasypał pieprzu na łopatkę, natychmiast podniosły się z niej tumany białawego dymu tak gęstego i gryzącego, że kto go zdaleka powąchał, kaszlał, kichał czy tarł co siły i płakał. Łopatkę z tem kadzidłem, umieszczono w szparze którą rozrywała pantera, a Maso zdjawszy z siebie szal służący mu jako pas, napędzał nim jak wachlarzem dym do wnętrza budynku. Wkrótce też białawe smugi przedarły się w głąb stodoły. Niema na świecie żadnego hałasu, do którego dałby się przyrównać dziki koncert, jaki zaczęła wyprawiać pantera, gdy silna woń pieprzu polechła jej nozdrza. Przyciskała paszczę do desek, tarła oczy łapami, wrzeszczała, wyła i kichała tak zabawnie, że młodzi chłopcy nie mogli się wstrzymać od śmiechu; ona jednakże mimo to wszystko pozostawała w miejscu przy swojej robocie, jak człowiek uparty, który woli cierpieć niż ustąpić.

— Niema pan przy sobie trochę prochu? senor? — zapytał Maso swego pana.

— Oto jest! — odpowiedział podając mu.

W chwilę później proch wybuchnął i dym jeszcze gęściejszy niż wprzód przedarł się do stodoły przez rozzerwaną szczelinę. Tego już było za dużo dla pantery, gdy wybuch nastąpił jej prawie pod nosem, odskoczyła na drugi koniec stodoły, a sprostregłszy przygotowany otwór w ścianie, rzuciła się w niego i była już w klatce, drzwi zapadły.

W chwilę później wpakowano klatkę na wóz obok drugiego z małpami i leżącego na słomie niedźwiedzia. Czarnuło jakiś czas miał dźwigać tylko zapasy żywności.

Małpy okropnie się przelekły tak, że mało nie poginęły ze strachu na widok niedźwiedzia i pantery, dwóch swoich najsroźszych nieprzyjaciół, drżały wszystkimi członkami trzęsąc się jakby w paroksyzmie febrы gwałtownej. Narzeczcie trzeba było nakryć je z klatką, aby uchronić przed widokiem złowrogich sąsiadów; wtedy pokazało się że te małe licha dręczone były ciekawością jeszcze bardziej niż strachem, bo dopóty kręciły się i próbowały na wszystkie strony, aż udało im się podnieść różek płótna, którem klatkę ich nakryto i dopiero jedna po drugiej cisnęły się do owego kąta, żeby tą dziurką choć jednym okiem wyglądać na wrogów,



przyczem rozprawiały i umawiały się o coś z niezmiernemżywieniem.

— Podaruję ci ptaszka, chłopczyku — rzekł do Tomka senor gospodarz, w chwili gdy miano ruszyć w dalszą drogę. Zaprowadził dziecko do krzaku i pokazał mu pod jednym z liści maleńką ptaszynek wielkości chrabąszcza, jakby z promyka słonecznego ulaną, która podskakiwała, poruszając się z niewymownym wdziękiem.

— I to ma być ptak? to chyba mucha! — zawołał Tomek zdumiony.

— Tak, to jest „ptak-mucha” najmniejszego ale i najświetniej ubarwionego rodzaju — rzekł Melchior, i chętniebył go zabrał, ale lękał się czy nie za wiele będzie z nim kłopotu w podróży.

— To już ja, tylko ja sam będę miał o nim staranie! — żywo zawołał Tomek. — A cóż to maleństwo jada?

— Ptak-mucha żywi się tylko sokiem kwiatów, który z nich czerpie długim języczkiem jak pszczoła. Tak samo żywią się i kolibry należące do tegoż samego rodzaju ptaków, a różniące się jedynie dziobkiem zakrzywionym, gdy ptak-mucha ma prosty. Ale wszystkie te ptaszatka błyszczą barwami drogich kamieni i mogą być uważane jako klejnoty królestwa zwierzęcego. Indianie zowią je *ułosami słońca*. Jeżeli chcesz wziąć go zupełnie na swoją odpowiedzialność to chętnie pozwalam ci przyjąć podarek senora gospodarza, inaczej, przyznaj że szkoda byłoby pozbawiać swobody to przesłizne stworzonko.

Tomek skwapliwie przyrzekł dbać o ptaszka, i dozorca na znak gospodarza przeniósł mikroskopijne gniazdeczko wraz z gałązką do odpowiedniej klateczki, poczem, uściśnawszy się za ręce z dobrym właścicielem haciendy, Melchior i jego kawalkata ruszyli w dalszą podróż.

Wyruszone po południu, nie wiele więc drogi zrobiono dnia tego. Droga ta była też coraz gorsza; kamienista, nierówna, niebezpiecznie byłoby postępować nią w ciemnościach. Znajdowano się u stóp Kordyljerów.

Góry te były pełne dzikiego zwierza i tam to właśnie złowiono niedźwiedzia i panterę, które miały teraz przebywać jako więźniowie po raz ostatni góry swoje. Gromadka Melchiora jednakże była dobrze ubezpieczona: Właściciel haciendy pozostawił mu swego wielkiego charta i dwa najsilniejsze psy pasterskie, a to na wypadek jeżeliby niedźwiedź potrafił uwolnić się ze swych więzów. Prócz tego, woźnica miał z sobą trzy własne brytany; tworzyło to wraz z Kasztanem niezłą psiarnię; to tylko było nie dobrze, że psiarnia ta rozbiegała się co chwila na wszystkie strony, goniąc na ochotnika za zdobyczą.

— Gdzie są psy? — zapytał nagle Pedro, wstrzymując konia i nasłuchując — przekłete zwierzęta, nigdy ich niema gdy są potrzebne. Przygotujcie strzelby panowie towarzysze!

— Cały oddział jeźdźców pędzi za nami z pewnością! — rzekł Tomek oglądając się. — Słyszę tętent koni!

Odgłos który zwrócił uwagę woźnicy, stawał się coraz wyraźniejszym, ziemia drżała pod grzmotem kopyt. Wędrowcy stanęli i nabili broń.

(d. c. n.)

Pierwsze rzeka, ztąd daleka.  
Drugie-trzecie strojne w kwiecie.  
Samo trzecie — w alfabecie.  
Trzecie czwarte, kary warte,  
Robią szkody, gdzie drób młody.  
Czwartą głoski przykre brzmienie,  
Gdy zmienim przez połączenie  
Z pierwszą na wspak obróconą,  
To siedzibę wymarzoną  
Złożym, i o której pono,  
Myśleć warto każdą dobą,  
Wszystko nieszczęściem, chorobą.

#### Łamigłówka sylabowa.

Wyrazów 15. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu, złożą dla kogo i przez kogo jest ułożoną. Sylaby: o — le — po — E — ci — ki — Ba — ka — gia — Hus — O — Em — che — rie — Cook — ley — tians — sy — lop — choc — Nar — ab — Ja — Ae — wól — Ol — ho — Chris — lo — Lotr — Ga — Ka — o — giedr — wał — Ar. — Znaczenie wyrazów: 1. Owoc służący do przyrządzania czekolady. 2. Syn Giedymina. 3. Handlowa osada duńska w Grenlandyi. 4. Nazwa sekty. 5. Nauka o starożytnościach. 6. Słowo narwać w 3-iej osobie liczby pojedynczej. 7. Jezioro w Ameryce południowej. 8. Rzeźbiarz francuzki. 9. Szybki bieg konia. 10. Morze w Azji. 11. Wyrzutek społeczeństwa. 12. Dwie samogłoski. 13. Gatunek wołu. 14. Sławny żeglarz. 15. Miasto we Włoszech nad rzeką Arno.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

##### Homoni mu:

Bałwan (bożyszcze, morski, soli i t. d.)

##### Łamigłówki liczbowej:

Ignacy Krasicki.

Cyna — Cyrk — Gra — Kra — Kana — Raki — Arak — San — Sara — Sarna — As — Siarka — Iris — Kir.

#### PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnem, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcye wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 kop. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi. 2—3

**TREŚĆ:** Zebra p. Zofią Urbanowską (z drzew.) — Bajka, wiersz. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — List Józia z Warszawy. — Wan-li czang-zing (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Przy jedzeniu, wiersz (z drzew.) — Wróbelek p. Maryą Weryho. — Zielone panienki, legenda z podań ludowych. — W karnawale. — Konkurs kaligrafii. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





## PRZY JEDZENIU.

Po sumiennie spełnionym całonocnym trudzie  
Zjadłszy smaczno śniadanie, leżał Burek w budzie,  
Przed budą zaś stał szaflik z resztkami śniadania;  
Wtem nadszedł Bryś z folwarku i grzecznie się kłania,  
Ogonem, psim zwyczajem, machając układnie:  
— Na te resztki cię prosić nie byłoby ładnie  
Przyjacielu — rzekł Burek — lecz bardzo cię proszę  
Odpędź tam od szaflika natrętne kokosze,  
Sam zaś, jeżeliś łaskaw odpocząć troszeczkę,  
Skosztuj z mego deseru tę pyszną kosteczkę...  
— Z przyjemnością—odpowie grzecznie Bryś z folwarku—  
Bo dziesiąta dochodzi na moim zegarku.  
Tym niemylnym, co każdy z nas nosi w żołądku;  
Lecz proszę, pozwól także jeść temu kurczątku  
Co tak chciwie zagląda do twego szaflika,  
A choćby wraz z niem jadła kokosz dobrodzika,  
Czyżby ci to szkodziło... przyjacielu drogi?...  
— Masz słuszość, nie odpędzaj kokoszy ubogiej —  
Namyśliwszy się, Burek odrzeczł Brysiowi —  
Niechaj nikt żeśmy skąpcy o nas psach nie powie.  
M. Z.

## WRÓBELEK.

Było to w zimie. Śniegu było dużo, dużo.

Wróbelek przyleciał z pola do miasta poszukać sobie pożywienia. Lecz w mieście na ulicach śniegu było także bardzo dużo. Ptaszek szukał ziarenek tu i owdzie, nigdzie ich wszakże znaleźć nie mógł.

Poleciał do ogrodu, myślał, że zoczy robaczka na drzewku. A na drzewkach nie było ani listka, ani robaczka, tylko śnieg i śnieg wszędzie.

Smutno zrobiło się wróbelkowi. Poleciał znowu do miasta, usiadł na dachu i myślał:

Biednyż ja biedny, co teraz pocznę, gdzie znajdę

jaki posiłek? ani ziarneczka, ani robaczka ani muszki, niema! Do tego tak zimno! Podniósł jedną nóżkę, ogrzał ją, potem postawił, podniósł drugą i główkę co chwila pod skrzydełka chował i drżał cały.

Wtem widzi że w oknie ktoś lufcik otwiera. Staje wróbelek na obie nóżki, podnosi główkę i patrzy.

To jakiś chłopczyk mały, wysunął rączkę przez lufcik i sypie przed okienkiem okruszynki chleba.

— A jej! cóż za radość! Przecie chlebek tak srakuje!

Wróbelek jednak bał się zaraz polecieć, bo chłopcyk czasami łapią ptaszęta i dokuczają im bardzo. Zaczekał więc chwilę; chłopczyk tymczasem zamknął lufcik i wtedy wróbelek zeskoczył i zaczął chleb dziobać. Dziobał, dziobał aż póki nie zjadł wszystkiego.

A tu i słonko pokazało się i ogrzało wróbelka.

Ptaszynie tak się zrobiło wesoło, że bezustannie świegotał: cir, cir, radośnie skakał i nareszcie pofrunął.

Drugiego dnia siedzi wróbelek na dachu i znowu myśli: czy też to chłopczyk posypie mu dziś kruszynek?

Ale chłopczyk nie zapomniał o głodnych ptaszkach, posypał jeszcze więcej kruszynek, był tam chleb i bułeczka.

O jaki dobry chłopczyk! czy też gdzie są jeszcze takie dobre dziatki! Odtąd wróbelkowi dobrze było w zimie, codzień dostawał od chłopczyka garstkę okruszynek. Był tłusty i wesół. A czasem dla zahawy sam pukał do okienka.

Murya Weryho:

## ZIELONE PANIENKI.

BAJKA Z PODAŃ LUDOWYCH.

Wszystkim wiadomo że fantazyja ludowa upostaciowała sobie u nas szatana jako Niemca, ubrawszy go w kusy fraczek, harcap, kopytka, z nieodzownie z pod fraczka wyglądającym ogonem, i rogami wyglądającymi z pomiędzy włosów. Taki szatan czyli dyabeł jest częstokroć w bajkach ludowych bardzo komiczną postacią, bo namawiając poczciwego chłopka do złego uczynku, zostaje przezeń wywieziony w pole i po prostu oszukany, tak samo, jak w sprawie z szlachcicem zostaje na szable pobitym, o czym dużo krąży zabawnych bajek. Tak jest u nas, ale u górali, a zwłaszcza na północy np. w Szkocyi, szatan nigdy nie przybiera komicznej postaci. Góral jest poważny a nawet smutny, jakby wielkość otaczających go wyżyn przygniatała go swą potęgą, a ten rys charakterystyczny jest szczególnie widocznym u górali szkockich. Tam, tak zwane u nas „złe лихо” choć czasem udaje wesołość aby złudzić człowieka i nakłonić go do złego czynu, nigdy przecież nie jest komicznem naprawdę.

Pewnego razu — mówi jedna z podobnych bajek — w głębi bezdennych parowów, lasów, gór, jezior i urwisk górnej Szkocyi, zabłąkały się trzy dziewczynki goniące



uciekającą krówkę, dwie siostrzyczki i przyjaciółka. Gdy w daremnej pogoni za krówką, jedynym i całkowitym majątkiem ubogiej góralskiej rodziny, noc zapadła, dziewczynki schroniły się do małego załomu w skałach, który dla takiego jak one maleństwa, był jednak obszerną salą. Zjadły po kawałku chleba i sera w które ich matki zaopatrzyły, napiły się wody z blizkiego strumyka i postanowiły czekać dnia, gdyż po skałach niepodobna jest chodzić pociemku.

— Może jutro krówka się jeszcze odnajdzie — rzekła Kasia — tymczasem spać nam się nie chce, co by tu robić żeby przetrwać noc przesza?

— W tej chwili u nas w chacie i we wszystkich chatach zapewne, zjadłszy wieczerzę wszyscy śpiewają wieczorną modlitwę, możebyśmy i my śpiewały? — powiedziała Basia.

— E, to nudno — odrzekła Frania — i owszem śpiewajmy, ale co wesołego; gdyby tak jeszcze było nas więcej, aby potańcować można, ot toby nam prędko noc zesza!

— Czemu nie! i my rade potańcujemy! — zawołał na to wesoły głosik, skoczna piosenka zadźwięczała i trzy inne dziewczynki tak samo zapewne z kąścis tutaj nocą zagnane wbiegły tańcząc i śpiewając.

Frانيا, dla której modlitwa nudną bywała, skoczyła pierwsza do ślicznej a zwawiej nowiej przyjaciółki, która tańcząc i śpiewając, nagle wyskoczyła wraz z Franią i z głośnym chichotem z kryjówki na zewnątrz, utrzymując, że tańczyć było tu za ciasno. Wnet i Kasia skoczyła tańczyć z drugą dziewczynką, bo chociaż Kasia nie tak bardzo jak jej siostra przepadała za płochemi zabawami i chętnie śpiewała pieśni pobożne, przecież nieznamoma panienka tak ochoczo przytupywała i tak skocznie śpiewała tańcząc przed nią, i tak ślicznie się uśmiechała do niej wabiąc sobie przyjaciółeczkę, że ją zwabiła nareszcie, chwyciły się za ręce i wybiegły tańcząc, tak samo jak pierwsza parka, przyczem nieznamoma tanecznica zachichotała znowu przeraźliwie, a na ten chichot odpowiedział gdzieś tam w oddaleniu przeciągły jęk bolesny. Wprawdzie szum górskiego wichru zagłuszył to wszystko, ale jednak Basia zadrżała czegoś w tej chwili, bo teraz dopiero zauważyła że wszystkie trzy nieznamome tanecznice, miały na sobie prześliczne zielone sukienki, a Basia nieraz słyszała o „zielonych panienkach”, które wedle góralskiego przesądu, wabią i gubią ludzi nieostrożnych, nawet dorosłych. Tymczasem trzecia nieznamoma dziewczynka tańczyła ciągle coraz zamasyściiej, śpiewała coraz śliczniej przed Basią, uśmiechając się serdecznie i wabiąc ją na różne sposoby, a namawiając do tańca tak ochoczo, że już już, i Basia miała do niej skoczyć i puścić się w taniec, chociaż była bardzo pobożna i modlitwy śpiewać lubiła. Ale w tem przyszło Basi na myśl, dla czego też to ta śliczna tanecznica nie bierze ją w taniec, tylko rączki z daleka podaje i kiwa i mruga i wabi żeby Basia sama do niej skoczyła?... tak właśnie jak robi „zła moc” która nie ma przystępu do dobrego człowieka, tylko go kusi, dopóki człowiek *sam* jej chociaż jednego palca nie poda... Ta myśl tak przeraziła Basie, że nagle ręce, które jej się same rwały już do wyciągniętych ku niej rączek tanecznicy, złożyła jak do modlitwy

i ze strachu zaczęła śpiewać hymn pobożny, codziennie w rodzicielskiej chacie śpiewany. I otóż włosy powstały na głowie biednej Basi, gdy spostrzegła wyraźnie, że w miarę jak śpiewała, postać ślicznej tanecznicy bladła, nikła, jak tuman na łące wobec słońca a skoczna jej piosenka cichła, jakby w wielkiej odległości ginęła... Wkrótce już ledwo że słysząc było dźwięk jakiś i niewyraźne coś jak mgła migotało się w powietrzu. Basia drżąc ze strachu i zmęczona długim śpiewaniem, umilkła wtedy bo jej głosu nie stawało, ale zaledwo umilkła, gdy zjawisko zaczęło znowu nabierać barw, wyrazistości i siły, i śpiewać rozkoszniej jeszcze niż wprzód i za chwilę „zielona panienka”, prześliczna jak majowy ranek, przytupywała tuż, tuż przy Basi, uśmiechając się a wabiąc ją jeszcze pokusiłwiej niż dotąd. Zebrała więc nieszczęśliwa Basia wszystkie siły i już ciągle do dnia białego śpiewała nabożne pieśni, wobec wybladłego, ale wciąż nieodstępującego ją widziadła. Dopiero o wschodzie słońca „zła moc” znikła zupełnie i Basia trzęsąc się całą wyszła z kryjówki i powlokła się do domu. Po drodze spostrzegła w głębi jarów szczątki Frani i Kasi porozbijane na skałach... Gdy Basia doszła do rodzicielskiej chaty, upadła zemdlona na progu, a rodzice nie poznali jej w pierwszej chwili bo ciemne włosy dziewczynki zbierały zupełnie z całonocnego przerażenia i ze zgrozy, na widok nieżywych towarzyszek. Basia chorowała długo i ciężko potem, i ledwo że ją rodzice odratowali.

Taka bajka krąży pomiędzy szkockim ludem, ma ona wyrazić myśli, że lekkomyślność wiedzie do nieszczęścia i przeto każdy człowiek, dziecko czy dorosły, powinien się opierać wszystkiemu co do niej wabi, bo lekkomyślność, jest pierwszym stopniem do złego.

## W KARNAWALE.

(Dalszy ciąg).

Staś skinął na dorożkę, wziął chłopca na ręce i pojechali we troje do domu.

Właśnie pani S., ich matka, wyprawiwszy dzieci do siostry na zabawę, na której sama z powodu lekkiego bólu gardła być nie mogła, usiadła do fortepianu, gdy usłyszała nagły głos dzwonka. Pobiegła otworzyć, i przestraszyła się ujrawszy powracające dzieci:

— Co się wam stało? — zawołała.

— Nam nic, mam — odpowiedział, całując z pospiechem jej rękę Staś — ale oto na drodze znaleźliśmy zmarznętego chłopca, może się uda przywrócić go do życia, przywieźliśmy go tutaj, został w dorożce, a ja wbiegłem żeby przywołać służącą, przy pomocy której wniosę go na wschody.

W pięć minut leżał już Tomek na wygodnej sofce, a pani S. troskliwie nacierała go śniegiem; po kwadransie chłopiec otworzył oczy, a pani S. wlała mu w usta trochę wina.

— Mamusiu, on już oczy otwiera — wołała radośnie Zosia — żyje, żyje!



Rzeczywiście, Tomek przyszedł już prawie do przytomności, a pierwsze jego słowa były:

— Gdzie ja jestem?... już późno... matka głodna...

— Uspokój się — rzekła troskliwa opiekunka — powiedz tylko gdzie mieszkacie, a ja pošlę twę matce co trzeba.

— Ach, jęj trzeba mięsa, bo doktor jeść kazał... ale niema za co kupić... mieszkamy na Starem mieście.

— Ja tam pojedę — zawołał Staś.

— Weź mię z sobą — prosiła Zosia.

— A więc jedźcie, tylko ubierzcie się ciepło — rzekła matka.

Dzieweczka za chwilę przebrana już była w codzienne sukienki, okryta w ciepłą salopkę, wsiadła z bratem do dorożki, gdzie już umieszczono przygotowany przez panią S. koszyk z mięsem, chlebem i winem, potrzebnem dla przywrócenia sił osłabionej kobiecie.

Upłynęło dobre pół godziny zanim Staś z siostrą dostali się pod numer wskazany przez Tomka, a następnie do małej izdebki w suterrenach.

Smutny teraz im się przedstawił widok:

Na lichem posłaniu, oświetlonem słabym płomieniem lampki, leżała młoda jeszcze kobieta z wychudłą twarzą, drżąc od zimna.

— Gdzie mój chłopiec... — jęczała — jak on jeszcze zginie, nic mi się już nie zostanie na świecie... dziecko, drogie dziecko!

— Jest wasz chłopiec, jest! — zawołał ktoś w progu, znaleźliśmy go prawie zmarzniętego na ulicy, ale teraz jest u nas rozgrzany i nakarmiony; o was tylko myślał powróciwszy do życia, przynosimy więc wam pośitek, nie chcąc go narażać na nowe przeziębienie.

— Niech wam Pan Bóg nagrodzi, dobry paniczu — wyszeptala kobieta; — ale gdzie mój Tomek, czy zdrow? Boże, Boże! jaka ja biedna że dziecka do rzemiosła oddać nie mogę, byłabym o niego spokojna. Zmarzło pewno biedactwo — powtarzała płacząc.

— Tomek zdrow, posilcie się, potem o nim pomówimy.

Kobieta wzmocniona posiłkiem uspokoiła się trochę, opowiadała ciągle o poczciwości Tomka, który za swój zarobek kupował dla niej pożywienie, sam sobie od ust odejmując — dawniej wesoły, nawet swawolny, teraz posmutniał i zpoważniał do niepoznania.

— Już późno — rzekł wreszcie — musimy powracać, jutro odwieziemy wam chłopca, a może i zaradzimy co na waszą niedolę.

— Niech wraca jak najranniej, paniczu — wołała za dziećmi chora.

O jedenastej byli już oboje z powrotem, Zosia zapomniała zupełnie o straconym baliku, poszła też do łóżeczka z myślą o biednej kobiecie i jęj synku, który teraz zasypiał spokojnie.

Tylko Staś z matką długo jeszcze w nocy coś gwarzyli.

W tydzień potem szczęśliwy Tomek pracował u stolarza, gdzie go oddała dobroczynna pani S., gdyż do tego zawodu miał najwięcej zamiłowania. W każdą niedzielę odwiedzał matkę, która wyzdrowiawszy przyjęła obowiązek u swęj dobrodziejki. Staś poświęcał wszystkie

czas wolny uczeniu Tomka, wpajał w niego zamiłowanie cnoty i pracy. W lecie Tomek dostał się za staraniem pani S. do jednej z kolonii letnich, zkąd wrócił zdrow rumiany i wesoły. Kochał też serdecznie swych dobroczyńców, mając zawsze największą wdzięczność dla Zosi, która pierwsza dostrzegła go zmarzniętego na schodkach sklepowych.

L.

## KONKURS KALIGRAFII.

Przed kilku laty dawaliśmy dla młodszych naszych czytelników konkurs kaligrafii, w którym niejeden z nich zdobył zasłużoną nagrodę. Wnosząc że dziś współubiegając się będą o podobne odznaczenie, młodzi ich braccisz-kowie i siostrzyczki, ogłaszamy tenże konkurs powtórnie, z zastrzeżeniem, że brać w nim mogą udział jedynie panienki i chłopczyki do lat dziewięciu, ostateczny zaś termin do nadsyłania próbek kaligrafii jest do 1 Marca.

### SZARADA.

(dla córki Mazurów od P. I.)

*Pierwsza druga, to barwa często nielubiana  
Druga trzecią gdy dobra, chętnie przyjmowana,  
Wszystko jeśli jasnymi ułożone słowy,  
Łatwa do odgadnięcia i nie męczy głowy.*

### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(od Białej Ostróżki dla Kropelki Rosy).

Znajdziesz mię w kamelii, w koralu, w kobiecie,  
Naprawdę się silisz nie bywam ja w lecie.  
Królowie mię znają, w koronie réj wodzę,  
Lecz rolę pogardzam i w pługu nie chodzę.  
I w kwietniu mnie spotkasz, lecz czerwca unikam  
W październiku bywam a w grudniu już znikam,  
W starych katakumbach siedlisko obrałam  
Z nauką, już się też dawno pobratałam  
Okręt biało-żagli zna mię doskonale,  
Lecz jeszcze nie noszą mię spienione fale.  
Wolę Ukrainę, choć Włochy cieplejsze  
Wolę błądy księżyc, choć słońce piękniejsze  
Skończyłam. Odgaduj, Kropelko kochana,  
Wiedz, że i u ciebie jestem poważana.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady:

U l e.

Z a g a d k i:

D z i e ń.



## Skrzynka do listów.

**Panu Skibniewskiemu w Balicach.** Kupno książek wraz z przesyłką pocztową wynosi rs. 7 kop. 36 strąca się z tego pozostałe u nas w roku zeszłym kop. 60, a więc wypada rs. 6 kop. 76, przysłano na nie rs. 5, zatem dodaliśmy rs. 1 kop. 76.

Gdyby liścik **Romulusa i Remusa** był napisany do którego z ich kolegów, umieścilibyśmy go według życzenia.

**Cichéj Wodzie** Gołąbka za życzenia i pamięć dziękuje.

Bardzo radziłybyśmy uczynić zadość życzeniu kochanej „**Stanowczości**” i probowaliśmy poszukać roboty dla téj którą się zajmujemy, ale nam się to nie udało. A gdyby też ta osoba próbowała udać się do Bazaru robót kobiecych przy ulicy Wierzbowej?

Spełniono życzenie **Helenki O. i Niezapominajki z Polesia.**

**Pegazie Skrzydlaty!** Treść twego artykułiku dotycząca rzeczy nader poważnych, nie nadaje się do humorystycznego opowiadania w powiastce dla dzieci przeznaczonej. Przedmiot to raczej do rozprawy pisanéj dla starszych, a opartéj na tle historycznem. Często radzi nie radzi widzieć musimy błędy tych, których powinniśmy kochać i szanować; nie daje nam to jednak prawa namawiać się z tychże błędów.

**Bohdankowi**, oraz wszystkim, którzy nas pytają o początek „**Szesnastoletniego wojewody**” donosimy, że dostać go można w redakcyi nadesławszy kop. 30.

**Maniu i Jadwiniu Z. z D.** chętnie uczynilibyśmy zadość waszemu życzeniu, gdyby nie to że listy wasze odebraliśmy bardzo niedawno temu. Nie ręczymy więc, czy uda się zdążyć na czas.

Miła nasza przyjaciółeczka **Brzydotka z nad Tamizy** zakłada widać bibliotekę z **Wieczorów**, co bardzo nam pochwlebia, bo widzimy w tem dowód, że **Pisemko** nasze jest dla niej łącznikiem ze wszystkim co swojskie. Co do korespondencyi z **Gwiazdą** daliśmy listowną odpowiedź tu jednak powiemy jeszcze, że zawsze wolimy formę zwyczajną.

Więc już i **Krasnolice** do rzędu staruszek przechodzi? Żegnaliśmy cię z żalem, dziewczeczko, z którą i my także „zspoliliśmy się duchem” gdyby nie zapewnienie twoje, że pisywać do nas będziesz.

**Vesta** dawna **Akacya Różowa**, oraz **Cyganecka z nad Wisły**, przesyłają nam świąteczne życzenia i miłsze nam nad wszystko słowa serdecznego uznania. P. Ur. oraz Gołąbka wraz z nami dziękują pocziwym dziewczątkom za to co na ich część przypada.

**Goralce** również jak i **Maryi Sz.** posłano to, czego żądały. Dla ostatniej dodajemy tu jeszcze, że opóźnienie nie z naszej nastąpiło winy.

**Orzeł biały** jak również **Lucio des E.** nadesłali dobre rozwiązania.

**Lobelii** kochanej posyłamy całusa w zamian za życzenia; miło nam się dowieść, że nagroda „wielką radość” jéj sprawiła. Tak to zresztą zawsze bywa, że zasługa sama sobie jest nagrodą, przez to zadowolenie jakim nas napawa.

**Sz. Pani M. Sok.** Pojmujemy wybornie niecierpliwość Sz. Pani i z rozrzewnieniem prawdziwem dowiedzieliśmy się przyczyny, dla której Państwo pozostaliście czytelnikami naszego pisemka. Niechże Bóg zdrowo chowa pozostałą dziecinę, która musi być zdolną i bystrą, skoro młodziutka mamusia już zaczęła ją uczyć czytać. Numer żądany posłano.

Kochana **Czaplo z nad Pohanki!** Przesyłam ci życzenia na rok nowo rozpoczęty. Miałam cały miesiąc wakacyi na święta, ale czas ten nie przeszedł mi równie wesoło jak tobie, bo nie mam rodzeństwa! Twój chory paluszek już wyzdrowiał? Kwiat Granatu niecierpliwie czeka listu od ciebie. Twoja **Czarna Koteczka**.

Drogi **Światelko!** Czyżbyś o mnie zapomniła, że tak dawno nie miałam liściku od ciebie? Popraw się i napisz. Ucałuj odmennie rączki i nóżki swojej mamy i p. S. Rodzeństwu i mojemu pięcioletniemu narzeczonemu, serdeczne buziaki, dla ciebie zaś uściśnienia łączy *Szczerść*.

Białą **Ostróżkę** pozdrawiam serdecznie. Gosposię z nad **Warty**, **Gwiazdkę** i **Białą Perelkę** zapytuję, czy chce korespondować z nieznaną *Szczerścią*?

Drogi moje: **Gwiazdko nadziei** i **Czeska Niezabudko**. Chcę **Gwiazdko Nadziei** korespondować z tobą przez nasze kochane **Pisemko**. Znamy się doskonale. Ja mam lat 11, oczy czarne, ciemne włosy, a noszę imię jednéj cesarzowej greckiej. Czy uczysz się po angielsku i czy lubisz ten język? Omyliłaś się **Niezabudko**, nie miałam innego pseudonimu, bo drugi raz dopiero piszę do „**Wieczorów**”. Znamy się mało, lecz twoja siostra objaśni cię kto jest osobką ukrywającą się pod pseudonimem *Gwiazdy polarnéj*.

O dzięki ci miła **Rosiczko** za twą odezwę, kończę w tym miesiącu lat 14, możesz się więcéj o mnie dowiedzieć, przeczytawszy odpowiedź daną **Akacyi różowej** w numerze 34. Opisz mi swoją osobkę i donieś gdzie mieszkasz? pragnęłabym z tobą korespondować. Całuję cię serdecznie; twoja *Złota Tęcza*.

Dziękuję wam za liściki, kochane korespondentki. Zgadłam kim jesteście miła **Symfonio**, **Minią Sar.** nieprawdaż? przypominam cię sobie, grywającą symfonię **Bethowena**. Którą z nauk najlepiej lubicie, droga **Sarneczko** i **Światelko**. Czyś już zdrowa **Niezapominajko z Polesia**? A ty **Rusalko** czy lubisz rysować? **Różyczkę Alpejską** i **Sroczkę** z za plotka i **Wodne bączywie** ściskam serdecznie, donieście mi, gdzie mieszkacie? Czy znacie **Warszawę**, **Radziwianko**, **Stokrotko z nad Stochodu** i **Horpyno**? **Kuropatwo** droga napisz mi czy mieszkasz w okolicy **Łucka**? Czy lubisz muzykę **Cyganecko**? Całuję was; kochającą *Różyczka biała z Wołynia*.

Mój kary **Koniku** donieś mi jak się zowiesz, ile masz lat? Ja mam lat 6, na koniku bardzo lubię jeździć, a ty lubisz? odpisz, prosi cię o to *Rak z Kamionki*.

Droga **Wiochno z pod Lublina**. Dziękujemy ci serdecznie za miły liścik, my także pragnęłybyśmy widzieć drogą **Celinke**. Na przyszłe wakacje może zobaczymy się w **Nałęczowie**. **Krokieta** znamy doskonale, możesz sobie wyobrazić jakie ma powodzenie, skoro w przeciągu dwóch wakacyi, zniszczyłyśmy dwie gry doszczętnie. Teraz znów ślizgamy się jeszcze z większym zapalem. Czy nie bywasz u naszej kuzynki **Wikci D. w Lublinie**? Całujemy cię obiedwie po milion razy, *Westalka i Cyganecka z nad Wisły*.

Kochana biała **Perelko!** Zdaje mi się, że cię znam, na imię ci **Józia**. Ja jestem blondynka, słusznego wzrostu, mam lat 13, nazywam się **Helenka**, zgadnij kto do ciebie pisze, i odpisz prędko zyczliwéj *Junonie*.

Kochane **Rajskie Jabłuszko!** Chciałabym korespondować z tobą. Mieszkam w tych samych okolicach, więc może się kiedy spotkamy. Jak się nazywa miejsce twego zamieszkania i jak ci na imię? Ściskam cię, *Goryczka*.

Drogi **Światelko** i **Czarnooka z puszczy!** Piszę do was będąc w jednym z wami wieku. Na imię mi **Halinka**, uczę się w domu z mamą i nauczycielką, którą bardzo kocham. Całuję was serdecznie i proszę o odpowiedź. *Różyczka Jerychońska*.

Kochana **Cyganecko z nad Wisły!** Podobasz mi się bardzo dla twego ślicznego pseudonimu. Donieś mi jak ci na imię? ile masz lat? i co ci się w „**Wieczorach**” najlepiej podoba? Całuję cię serdecznie *Kampanella*.

Droga moja **Stokrotko z nad Stochodu!** Zwichnęłam nogę na ślizgawce i leżę. Co ty porabiasz? *Kapłanka Znicza*.

Kochana mała **Laszko!** Z listu twego do **Kołowrotka** łatwo domyśliłam się kim jesteś. Na imię ci **Jadwiga**, mieszkasz na ulicy **Bannéj** w sąsiedztwie **Czarnéj Perelki**. Czy odgadłam? donieś o tem twéj *Trusi*.

**P. S.** **Czarnéj Perelce**, **Błyskawicy** i **Polnéj Róży** ukłony zasylam.

Kochana **Gwiazdko z Podola!** Znam cię z opowiadania i z fotografii; masz lat czternaście, jesteś szatynką i nazywałeś się **Janisia B.** Jeżeli zgadniesz kto ja jestem, to może zechcesz pisywać do mnie przez „**Wieczory Rodzinne**”. *Kwiat Paproci*.